

dolny pokład

▪ Edward Augustyn

Ołowiane niebo pękło, a w szarych szczytach pokazały się pierwsze promienie wiosennego słońca. Po kilku dniach sztormowej pogody morze spotulniało tak nagle i niespodziewanie, że nawet starzy marynarze wychodzili na pokład i z niedowierzaniem spoglądali na łagodne fale, delikatnie uderzające o burtę.

Statek s/s „Berlin” z Neapolu do Nowego Jorku wreszcie mógł pokazać, co potrafi. Cztery silniki pracowały pełną parą, dwie ogromne śruby pruły morską toń rozpędzając parowiec do prędkości siedem-

nastu węzłów. Z kominów buchał dym, za rufą kotłowała się biała kipiela.

Zbudowany przed dwoma laty transatlantyk potrafił przepłynąć ocean w dziesięć dni, co robiło wrażenie, bo jeszcze nie tak dawno podróż do Ameryki trwała miesiąc. Kolos zabierał na pokład ponad trzy tysiące pasażerów, z czego ponad dwa i pół tysiąca w najtańszej, trzeciej klasie, na tak zwanym międzypokładzie.

Była niedziela, 10 kwietnia 1910 roku. Ojciec Marian Sobolewski, franciszkanin, profesor teologii moralnej i prokurator generalny zakonu, zarzucił ciepłą pelerynę na habit i wyszedł z kabiny. Spędził w Rzymie

ostatnie sześć lat. Wykładał w międzynarodowym kolegium, odpowiadał za kontakty kurii generalnej z Watykanem, był postulatorem w procesach beatyfikacyjnych. Wkrótce wróci do Krakowa, ale wcześniej postanowił odwiedzić przyjaciół w Buffalo. To dobra okazja, by zobaczyć kawałek świata, zwłaszcza tego „nowego”, do którego ciągną rzesze wychodźców. Wraz z ojcem Dominikiem, Amerykaninem z Nowego Jorku, wykupili dwuosobową kajutę w pierwszej klasie.

Zbliżało się południe. Steward podawał kawę w salonie. Franciszkanin wołał jednak zaczerpnąć świeżego powietrza. Mijał ósmy dzień podróży, a dopiero dziś można było spokojnie stanąć na pokładzie i spojrzeć na morze.

– Padre! Czy można ojca na chwilę prosić? – usłyszał za sobą niepewny głos. Obejrzał się i zobaczył dwie zakonnice.

– Jestem siostra Agata, a to siostra Petronela. Ze zgromadzenia sióstr zmartwychwstanków. Z Kęt.

– Witam i bardzo się cieszę – ojciec Marian był najwyraźniej zaskoczony. – W czym mogę siostrom pomóc?

– Mamy chorego chłopca, u nas, w trzeciej klasie. Prawdę mówiąc, umierającego. Prosi o kapłana.





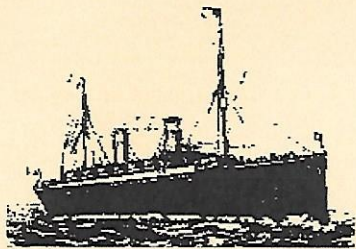
Przejście na dolny pokład zajęło im ładnych kilka minut. Najpierw długi korytarz wzdłuż kajut pierwszej i drugiej klasy, potem krętymi schodami w dół, znów korytarz przy kajutach oficerskich, kolejne schody, kajuty pozostałej załogi, wartownia, schody, maszynownia, ogłuszający ryk silników, kolejna wartownia, i wreszcie ciasny korytarzyk prowadzący na międzypokład.

W olbrzymim, ale niskim pomieszczeniu tłoczyło się blisko tysiąc osób. Leżeli na podłodze, na brudnych materacach albo na drewnianych pryzkach poustawianych po obu stronach wąskiego przejścia. Mimo otwartych na oścież drzwi prowadzących na dolny pokład, w sali unosił się ostry odór potu, brudu i wymiocin. Ojcu Marianowi zrobiło się gorąco. Zdjął pelerynę. Z kieszeni pod kapturem wyjął chusteczkę i przyłożył ją do nosa. Siostry prowadziły go przez labirynt wąskich przesmyków pomiędzy stertami toreb, pakunków, walizek, poupychanych na każdym wolnym kawałku podłogi. Gdzieniedzie trzeba było

przeskakiwać przez kocujących w przejściu podróżnych. Jedni leżeli bez ruchu, zrezygnowani i nieobecni, można było po nich przejść, podeptać, nie przesunęliby się o centymetr. Inni, przeciwnie, reagowali agresją, wyczerpani nerwowo, doprowadzeni do kresu wytrzymałości. Kobiety krzyczały, mężczyźni kłócili się i szarpali, dzieci płakały.

Pasażerowie trzeciej klasy. Widział ich w porcie, jak radośnie machali czapkami i kapeluszami do żegnających ich bliskich. Za 45 dolarów dostali prawko skrawka podłogi na międzypokładzie albo, przy dobrej pogodzie, na deskach dolnego pokładu. Raz na dzień wydawano im z okretowego kotła ciepły, ale wątpliwej jakości posiłek. W toaletach i umywalniach nie było bieżącej wody – nalewana wieczorem, stała w zlewach przez cały kolejny dzień. W coraz brudniejszym ścieku ludzie myli się, prali, zmywali naczynia. Większość pasażerów cierpiała na chorobę morską. Wymiotowali na podłogę, zmywaną jeden raz dziennie, a właściwie polewaną wodą z wiader

i wycieraną brudnymi szmatami. Na taki bilet trzeciej klasy robotnik we Włoszech musiał pracować przez cały rok. Jeżeli oczywiście miał pracę. Ale większość z tysięcy biedaków szturmujących biura linii morskich nie miała ani pracy, ani pieniędzy. Jeśli jeszcze ktoś z ich bliskich mieszkał w Ameryce, było łatwiej. Jedni posyłałi pieniądze drugim. Ściągali za ocean rodziny i znajomych. W małych miasteczkach na południu Włoch nie było domu, z którego przynajmniej jedna osoba nie wyemigrowałaby za pracę. Ale i ten, kto nie mógł liczyć na pomoc bliskich, miał szansę zrealizować marzenie o Nowym Świecie: wioski i osady dzień w dzień przemierzali agenci kompanii morskich i namawiali wieśniaków do wyjazdu. Wystarczyła niewielka zaliczka, podpisanie zobowiązania, że koszt podróży i zakwaterowania odpracuje się tam, na miejscu, i można było szykować się do drogi. Wiadomo, że ta pomoc nie była bezinteresowna. Inwestycja w nowego emigranta musiała się po wielekroć zwrócić. Dobrze, jeśli agent po wzięciu za-



Bohaterowie opowiadania

Chociaż opisane tu spotkanie jest fikcją literacką, wszystkie postacie występujące w opowiadaniu są autentyczne i rzeczywiście były pasażerami statku s/s „Berlin”, który przyплыł do Nowego Jorku 13 kwietnia 1910 r. Potwierdzają to – zachowane w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie – „listy pasażerów” z federalnej stacji imigracyjnej Ellis Island, u wybrzeży Nowego Jorku.

Pierwszą klasą rejsu odbywali franciszkanie **o. Marian Sobolewski** (lat 46, były gwardian krakowski, późniejszy prowincjał lwowskiej prowincji ojców franciszkanów) i **o. Domenico Rentes** (lat 53, zamieszkały w Albany, w stanie Nowy Jork). Na dolnym pokładzie (trzecia klasa) podróżowały dwie zakonnice z klasztoru zmartwychwstańek w Kętach – **s. Petronela Krzyżewska** (lat 30) i **s. Agata Paluszczkówna** (lat 33). Obie jechały do klasztoru w Chicago. Wśród pasażerów trzeciej klasy był też **Salvatore Capobianco** (lat 20), zamieszkały w Fontanarosa koło Avelino. Zachorował w czasie rejsu, zmarł w szpitalu na Ellis Island 16 kwietnia 1910 roku.

Pasażerem w trzeciej klasie był także **Grazio Forgione**, tato Ojca Pio (lat 49). Była to jego trzecia i zarazem ostatnia podróż zarobkowa do Ameryki.

Na temat emigracji Grazio Forgione nie mieliśmy dotychczas pewnych informacji. Dokumenty zachowane w amerykańskich archiwach pozwalają na bardziej precyzyjne ustalenie liczby i dat jego podróży. Wbrew rozpowszechnionej opinii, Zi' Razio wyjeżdżał nie dwa, ale co najmniej trzy razy do Stanów Zjednoczonych. Po raz pierwszy emigrował na przełomie wieku XIX i XX (dokładna data wyjazdu nie jest znana, powrócił do Pietrelciny w połowie 1903 roku). Drugi wyjazd, dotychczas kwestionowany przez biografów, miał miejsce w roku 1905. Trzeci wyjazd – to opisany w opowiadaniu rejs statkiem s/s „Berlin” w 1910 roku.

Obszerny artykuł Edwarda Augustyna na temat emigracji Grazio Forgione wraz z analizą odnalezionych dokumentów ukazuje się w kolejnym tomie włoskiego czasopisma „Studi su Padre Pio”.

liczki nie zniknął jak kamfora. Zdarzało się też, że zamiast „szyfkarty” dawał niepiśmiennemu chłopu wyciętą z gazety reklamę kompanii morskiej i dopiero w porcie biedak dowiadywał się, że stracił majątek.

Z Neapolu i Palermo statki wypełnione biedotą odpływały co kilka dni. Każdego miesiąca kilkanaście tysięcy Włochów opuszczało swój kraj, by szukać szczęścia za oceanem. Pokusa poprawienia losu, własnego i najbliższych, była silniejsza od strachu, niepewności, trudów podróży, tęsknoty za bliskimi.

Siostry poprowadziły kapłana w najodleglejszy kąt sali. Przed dwoma dniami w pobliżu ich prycz przeniesiono chorego, by mogły się nim opiekować także w nocy. Na brudnym sienniku leżał młody człowiek, może dwudziestoletni, a drobny, siwy mężczyzna troskliwie ocierał mu twarz mokrym ręcznikiem.

– To jego ojciec? – zapytał franciszkanin.

– Nie. Chłopak jest sam. A ten, to zupełnie obcy człowiek. Gdzieś z Pietrelciny, koło Benewentu. Siedzi przy nim całymi dniami, każdej nocy dyżuruje z nami na zmianę. Mówił, że ma syna w podobnym wieku, który też ciągle choruje.

Młodzieniec leżący na sienniku miał na imię Salvatore, pochodził spod Avelino, jechał do kuzyna w Filadelfii. Nie wiadomo, na co był chory. Wedle relacji sióstr, zachorował jak wszyscy, na początku morskiej podróży. Potem strasznie osłabł, zagorączkował. Wezwany lekarz nic nie pomógł. Tłumaczył, że nie może zajmować się konkretnymi przypadkami, bo ma do przebadania w dziesięć dni prawie trzy tysiące osób. Powiedział, że wezmą go do szpitala na Ellis Island. Jeśli dopłynie. Podczas prawie każdego rejsu ktoś umierał. Nie robiło to na lekarzu ani załodze żadnego wrażenia.

– Ten dobry człowiek z Pietrelciny zajmował się nim od początku – dodała siostra Petronela. – On już trzeci raz płynie do Ameryki, wie jak to jest. Pocięszzał go, podtrzymywał na duchu. A gdy kilka dni temu Salvatore się pogorszył, nie odstępował od niego na krok. Inni się wystraszyli, mówią, że nie wiadomo, co to za choroba, może jakaś zakaźna? A on nic sobie nie robi z tego gadania.

Starszy mężczyzna odwrócił się w stronę nowo przybyłych. Ojciec Marian zobaczył jego oczy – czarne, błyszczące, energiczne, można by rzec wciąż młode. Tamten wstał na przywitanie.

– Traci przytomność – powiedział cicho i wskazał wzrokiem na chorego. – A tak bardzo chciał się wypowiedzieć...

Franciszkanin dotknął głowy chłopca. Była rozpalona i mokra. Odmówił modlitwę.

– Wrócę po oleje święte – powiedział. – Proszę pójść ze mną, będzie mi łatwiej znaleźć drogę – zwrócił się do jednej z sióstr.

* * *

Wieczorem rozmawiał z ojcem Dominikiem o tym, co się wydarzyło. Twarz kornającego chłopca, troskliwe spojrzenie wieśniaka, zaduch i smród międzypokładku, huk maszyn – to wszystko wryło mu się głęboko w pamięć. Był wstrząśnięty.

Ojciec Dominik pokpiwał trochę, że pierwszy od lat kontakt z normalnymi ludźmi, a nie tylko biskupami i kardynałami, musiał wywołać szok.

– To jest życie, którego nie widać z wysokości profesorskiej katedry czy watykańskiej dykasterii. Trzeba było dopiero zejść na dolny pokład. Ale przywykniesz – pocieszał. – I szybko zapomnisz. Będziesz musiał.

Siedzieli w wiklinowych fotelach wystawionych na taras salonu. Niebo rozpołodziło się całkiem, a czerwona kula zachodzącego słońca z wolna chowała się za wachlarzem obłoków.

Ojciec Marian pokręcił głową.

– Wiesz, zajmowałem się ostatnio beatyfikacją pewnego biskupa. Stara sprawa, średniowiecze. Pamięć o nim przetrwała przez wieki. Pewnie dlatego, że był świętobliwy i zacny. A może dlatego, że był biskupem... Kanonizujemy księży, biskupów, założycieli zakonów i zgromadzeń. Dbają o to ich duchowi synowie i córki. A o tych biedakach, choćby żyli ofiarnie, święcie i bez grzechu, nikt nie będzie pamiętał. Odejda, jak tysiące innych ludzi, zmagających się z życiem. Ci wszyscy z dolnego pokładu. Nie wiem, czy można o nich zapomnieć. Czy wolno tak po prostu przywyknąć... ▣